

Neoliberalne eldorado elit trwa

2 marca 2025

Jak na Francję sama zapowiedź tytułowych zmian to niemal rewolucja! Automatyczne nabycie obywatelstwa jest rozwiązywane różnie w różnych krajach. W Polsce obowiązuje tzw. prawo krwi, czyli dziecko staje się obywatelem polskim, jeśli jego rodzice są Polakami, ale w innych krajach działa tzw. prawo ziemi, czyli obywatelstwo dostaje się już przez sam fakt urodzenia się na terytorium danego państwa. Ten drugi system z pewnymi modyfikacjami (konieczność zamieszkiwania przez pewien okres w kraju i chodzenia tutaj do szkoły) obowiązuje we Francji. „Prawo ziemi” ma wiele wad, produkuje często „obywateli”, którzy nie identyfikują się z krajem urodzenia, bywa wykorzystywany do regulowania sobie pobytu przez rodziny takich osób itd.

We Francji dyskusje nad zmianami prawa zaczęły się od zamieszek na... francuskim terytorium zamorskim Majotty. Metropolia postanowiła ograniczyć tam „prawo ziemi” ze względu na znaczną imigrację z sąsiednich Komorów. Dzieci tych migrantów w teorii nabywają prawo pobytu w tym zamorskim departamencie, co przekłada się też na legalizację pobytu ich rodzin. Francuski Minister Sprawiedliwości Gérald Darmanin opowiedział się za otwarciem „publicznej debaty” na temat „prawa ziemi” i chociaż sam projekt ustawy ma na celu ograniczenie obywatelstwa wynikającego z urodzenia się na Majotcie, to minister oświadczył, że opowiada się za rozszerzeniem tego środka na cały kraj. W podobnym duchu wypowiedział się MSW Bruno Retailleau. Ustawa dotycząca Majotty została ostatecznie przyjęta przez parlament w czwartek 6 lutego. Przeciw była lewica, dla której napływ migrantów i podmiana społeczeństwa to projekt ideologiczny tworzenia „nowego człowieka” (lewica ma tutaj pozytywne skojarzenia...).

Minister Darmanin mówi, że „dziś byłbym za tym, aby Francuzi mogli rozstrzygać tego typu kwestie w skali kraju podczas wyborów prezydenckich w 2027 roku lub w referendum, o którym decydowałby prezydent republiki”. Rozszerzenie ustawy na cały kraj wymagałoby jednak zmian Konstytucji. Rządowy pomysł „oddania głosu Francuzom” spodobał się jednak także na prawicy. Eurodeputowana Marion Maréchal Le Pen opowiedziała się np. za „całkowitym i zupełnym zniesieniem przyznawania obywatelstwa przez prawo ziemi na całym terytorium Francji”. Podobnie inni politycy, także na centroprawicy. W tym temacie doszło nawet do rozłamów w obozie prezydenckim.

Przeciw jest lewica, bo ograniczenie „prawa ziemi” zahacza o pryncypia lewicowej ideologii. Pierwszy sekretarz PS Olivier Faure zapowiedział, że jego partia będzie broniła „metyzacji oraz wielokulturowej i wieloreligijnej” Francji. Obronę „metyzacji społeczeństwa” głosi wprost także szef Zbuntowanej Francji (LFI) Jean-Luc Melenchon. Bywa nawet oskarżany o realizowanie idei „podmiany społecznej” i zastępowania narodu Francuzów nowym „wieloetnicznym” i „wielokulturowym” tworem. Dla szefa PS Faure’a powrót do „prawa krwi” to „przestarzała”, „zjełczała” i „nieświeża” wizja tożsamości narodowej. Jego zdaniem to powrót do... „wizji Francji białej i katolickiej”. Pierwszy sekretarz PS mówił wprost, że „tożsamość narodowa nie jest tożsamością stałą”. Olivier Faure powiedział, że nie tylko sprzeciwia się zmianie zasad przyznawania obywatelstwa, ale prawo ziemi to „element składowy tego, czym jesteśmy, który został skonsolidowany przez Rewolucję”. I wszystko jasne, rewolucja trwa...

Imigracyjna schizofrenia

Zapowiedzi ograniczenia „prawa ziemi” należy traktować jako rodzaj zasłony dymnej i próbę pokazania, że władze starają się coś w sprawie nadmiernej imigracji robić. Kiedy jednak we Francji władze centralne organizują „pokazówki” w sprawie ograniczenia napływu nielegalnej imigracji, w tym samym czasie

rządzone przez lewicę samorzady idą dokładnie w kierunku odwrotnym. Niczym w Biblii, „nie wie prawica, co robi lewica”... Chociaż zapewne nie do końca.

Samorzady robią swoje i np. przyznają publiczne dotacje na dowóz migrantów przez Morze Śródziemne, wspierają implantację „wielokulturowości”, budują kolejne dzielnice blokowisk zapełnianych migrantami. Dobrym przykładem jest tu miasto Rouen, gdzie rządzą socjaliści. Ta metropolis rozdaje właśnie 12 450 biletów autobusowych, aby „pomóc nowo przybyłym imigrantom” i „ułatwić procedury administracyjne”. Darmowe bilety to tylko część szerszego planu mającego na celu „promowanie integracji cudzoziemców”. Inicjatywa ta jest częścią podpisanej z państwem Umowy o Przyjęciu i Integracji Terytorialnej.

Całkowity koszt tej „pomocy” szacuje się na 9120 euro na rok 2025. Bilety zostaną podzielone między stowarzyszenia, które rozdysponują je wśród beneficjentów na podróże związane z „niezbędnymi procedurami administracyjnymi”. Oprócz pomocy transportowej, metropolia zapowiedziała również wsparcie dla innych projektów, które mają na celu poprawę integracji nowo przybyłych.

Miasto wesprze np. organizację... Światowego Dnia Uchodźcy, wydarzenia sportowego i kulturalnego zaplanowanego na 20 czerwca 2025 r. Wydarzenie ma na celu „promowanie wymiany między uchodźcami i rezydentami poprzez sport i różne działania kulturalne”. Metropolia będzie też wspierać projekt „Praktyka i przyswajanie języka”, czyli pogłębioną naukę języka francuskiego, zarówno w mowie, jak i w piśmie, pomagając uczestnikom „zrozumieć normy społeczne i kulturowe oraz uwolnić się od ubóstwa”.

Podobną drogą idą inne miasta rządzone przez lewicę. W „zielonym” Strasburgu miasto sponsoruje stowarzyszenie, które organizuje warsztaty „zarezerwowane dla kobiet innej rasy niż biała”. Pachnie to wręcz rasizmem à rebours. Stowarzyszenie

„Sauver le monde” zorganizowało jednak „niemieszany wieczór afro” w Pavillon du Guesclin, budynku przydzielonym stowarzyszeniu dzięki inwestycji merostwa. Dla białych był wstęp wzbroniony...

Propozycja likwidacji ministerstwa kultury

W etatystycznej Francji padła ciekawa propozycja likwidacji resortu kultury. Znany paryski prawnik Adrien Hall i Jean-Baptiste Michau (profesor ekonomii w École Polytechnique) proponują radykalne rozwiązanie mające na celu położenie kresu działalności ministerstwa, które „marnotrawi pieniądze podatników i nie wypełnia swojej misji”. Przypominają, że kiedy Luwr, muzealny klejnot Francji znajduje się w niebezpieczeństwie i brakuje mu środków finansowych, ministerstwo woli rozsyłać czeki „rentierom kulturalnym” i wspiera najbardziej poronione pomysły ideologii woke.

We Francji Ministerstwo Kultury zostało powołane 3 lutego 1959 r. przez Charlesa de Gaulle’a, który chciał stworzyć ministerstwo „skrojone na miarę potrzeb swojego przyjaciela André Malraux”. Jego celem była „demokratyzacja dostępu do kultury francuskiej” i zapewnienie Francji przez kulturę globalnego wpływu politycznego. „Sześćdziesiąt pięć lat później jesteśmy bliżej fiaska niż sukcesu” – stwierdzają autorzy publikujący w tygodniku „Valeurs”. Ministerstwo Kultury „rozrzuca publiczne pieniądze na rentierów »przebudzonej« kultury”, a mimo bardzo hojnego budżetu, nie jest już w stanie zapobiec niszczeniu narodowych klejnotów, takich jak Luwr. Przy tym francuski eksperyment kulturowy kosztuje podatników straszliwie drogo.

Ministerstwo kultury Francji ma roczny budżet w wysokości 9 miliardów euro, ale ten jest od lat studnią bez dna. Pada tu przykład tzw. „paszportu kultury”, skierowanego do młodych ludzi. Trybunał Obrachunkowy wezwał w grudniu 2024 r. do

zakończenia tego eksperymentu w postaci rozdawania „czeków na kulturę”, bo i tak ma „ograniczony wpływ na praktyki kulturowe młodych ludzi”. Kolejny przykład marnotrawstwa to zasiłki dla „bezrobotnych artystów”. Łączny koszt zasiłków dla takich bezrobotnych i ulg podatkowych związanych z ich statusem wynosi około 1,2 miliarda euro rocznie.

Ministerstwo stało się „świątynią artystycznego klientelizmu” i jego działania opierają się obecnie na jego „zdolnościach do wystawiania czeków i rozdzielania dotacji dla kulturalnych rentierów, którzy tworzą dzieła, których nikt nie ogląda”. W raporcie Senatu z 2023 r. na temat publicznego finansowania kin, sprawozdawca wyraził ubolewanie, że „obfitość dotacji rośnie i kontrastuje z frekwencją w kinach” na dotowanych, francuskich filmach. Amerykańskie produkcje mają jednak na ogół dobrze. Pada tu przykład francuskiego feministycznego filmu „Toutes pour une”, który pomimo wyjątkowo hojnej dotacji z Narodowego Centrum Kina (CNC) wydaje się być na dobrej drodze do zdobycia tytułu „największego marnotrawstwa publicznych pieniędzy w 2025 roku”.

Co roku prawie 4,5 miliarda euro trafia na Radio France i France Télévisions. Są to pieniądze przeznaczone na progresywną propagandę. Delphine Ernotte, prezes France Télévisions mówi wprost, że rolą publicznej TV nie jest prezentowanie „Francji takiej, jaka jest”, lecz „takiej, jaką chcielibyśmy, żeby była”. Za jej prezesury każdy z emitowanych seriali telewizyjnych musi spełniać nadrzędną „klauzulę różnorodności”, zgodnie z którą utwory muszą odzwierciedlać „różnorodność kultury, społeczeństwa, ludności francuskiej i imigrantów zamieszkujących terytorium Francji”, a producenci muszą promować „różnorodność etniczno-kulturową i społeczną”. Serial bez przedstawiciela LGBT czy reprezentanta wieloetniczności żadnej dotacji nie dostanie. CNC uzależnia także swoje dotacje od odbycia kursu szkoleniowego „uświadamiającego” na temat radykalnych dogmatów feministycznych. To wszystko jest finansowane z podatków, a

„cały ten mały świątek artystyczny kategorycznie odrzuca jakiegokolwiek żądanie rentowności ich dzieł”.

Przypomniano też apel reżyser Justine Triet, która odbierając Złotą Palmę w Cannes, wzywała do „zachowania idei nieopłacalności” filmów i nie podejmowania się ich rentownością, bo „cały świat nam zazdrości”. Autorzy przypominają, że cały „komfort” takich twórców opiera się „na przemocy przymusu fiskalnego narzuconego Francuzom, których zmusza się do finansowania filmów, których nie chcą oglądać”.

„Ta paternalistyczna polityka kulturalna, oparta na przekonaniu, że Francuzi nie potrafią odróżnić ciekawego dzieła od śmiecia, musi się skończyć”, a arbitrem odróżnienia dzieła dobrego od złego musi zostać rynek. „Aby istnieć, kultura musi być wolna, ale żeby być wolną, nie może pogodzić się z rolą kurtyzany dla władzy politycznej, która ją opłaca”. Autorzy przypomnieli, że największe dzieła ich kultury powstawały bez państwowego mecenatu, „nie zapominając o wszystkich impresjonistach z Salonu Odrzuconych, a także o Berliozie, Bizecie, Debussym, a nawet Louisie de Funès i Johnnym Hallydayu – wszyscy oni byli w istocie lekceważeni przez ówczesny establishment kulturalny, mimo oczywistych sukcesów”.

Według autorów apelu o likwidację ministerstwa, „państwo nie jest powołane do finansowania projektów kulturalnych, na które nikt nie chodzi. Jego rolą, wręcz przeciwnie, zawsze było zapewnienie przekazywanie dalej tysiącletniego dziedzictwa narodu, którego artyści, rzeźbiarze i architekci inspirowali świat i nadal to robią, nawet wiele wieków po swojej śmierci. Przy 100 milionach turystów rocznie Francja nie potrzebuje kosztownego ministerstwa, które podtrzymywałoby przy życiu jej kulturę, lecz prawdziwej polityki ochrony kultury istniejącej”. Tymczasem „Luwr się rozpada”, a Obserwatorium Dziedzictwa Religijnego ostrzega, że do 2030 r. od 2500 do 5000 kościołów zagrożone jest we Francji zniszczeniem. „Bardziej niż kiedykolwiek państwo musi ponownie skupić swoje

zasoby na utrzymaniu naszego dziedzictwa artystycznego i architektonicznego” – dodają autorzy.

Porażka fotowoltaiki. Żarło, żarło, aż zdechło...

Francja jest kolejnym krajem, który przyznaje się do porażki programów z rozbudową fotowoltaiki. Obecny rząd chce już ograniczyć pomoc na montaż paneli słonecznych. Odbije się to na działalności dwóch wielkich fabryk paneli we Francji, ale to i tak mniejszy koszt i mniejsze straty dla państwa. Media piszą, że „to zimny prysznic” dla sektora. Rząd opublikował bowiem projekt dekretu, który zostanie teraz poddany konsultacjom. Celem jest ograniczenie liczby instalacji fotowoltaicznych we Francji po tym, jak w ubiegłym roku kraj ten pobił wszelkie rekordy w tej dziedzinie.

Tekst dekretu przedstawiło Ministerstwo Przemysłu i Energetyki i dotyczy rozwoju fotowoltaiki na budynkach, hangarach i zadaszeniach. Składa się z dwóch części. Pierwszy dotyczy w większym stopniu osób fizycznych i instalacji o mocy od 0 do 9 kWc (kilowat szczytowy). „Wsparcie dla tego segmentu zostanie skoncentrowane na autokonsumpcji” – głosi tekst dekretu. Oznacza to koniec wspierania produkcji energii, z którą nie ma i tak co robić. Dlatego dalsze projekty, nienastawione na autokonsumpcję (własne potrzeby gospodarstwa) wytwarzanej energii, nie będą już otrzymywać państwowego wsparcia.

Druga część dekretu dotyczy większych instalacji o mocy od 100 do 500 kWc. Napisano tu, że „stawka wsparcia zostanie dostosowana tak, by zachować równowagę ekonomiczną projektów, przy jednoczesnej kontroli wydatków publicznych”. Dekret dodaje, że „wsparcie będzie zarezerwowane, od czerwca 2026 r., wyłącznie dla projektów podlegających odpornej podaży europejskiej, ze stawką dostosowaną do tego horyzontu”. Data 2026 nie jest tu przypadkowa, bo wówczas mają rozpocząć produkcję dwie wielkie fabryki budowane we Francji, Holosolis

w Hambach (Mozela) i Carbon w Fos sur Mer (Bouches du Rhône). Firma Holosolis, która właśnie uzyskała pozwolenie na budowę, zamierza rozpocząć produkcję urządzeń fotowoltaiki pod koniec 2025 roku.

„Wsparcie udzielane fotowoltaice od początku XXI wieku umożliwiło rozwój sektora” – powiedział Marc Ferracci. „Wsparcie publiczne może teraz zostać ponownie skoncentrowane na głównych celach różnych segmentów, w tym na własnej konsumpcji – dodał minister. Tak naprawdę chodzi o to, że „rozprzestrzenianie się małych ośrodków produkcji energii elektrycznej” rodzi więcej kłopotów niż korzyści. Sieci elektroenergetyczne są coraz bardziej trudne i skomplikowane w ich zarządzaniu, instalacje i moc nie zawsze odpowiadają potrzebom energetycznym w okolicy, a mnożenie przyłączy okazuje się kosztowne.

Autorstwo: Bogdan Dobosz

Źródło: NCzas.info